

KRYMINALNE INTRYGI
GABRIELA CABALLERO #2

PABLO POVEDA WYSPA CISZY



Wyspa ciszy

Pablo Poveda

Original work copyright ©2017 by Pablo Poveda

Tytuł oryginału: La Isla del Silencio

Okladka: ©2017 Pedro Tarancón

Przekład: Piotr Jarco

Redakcja: Natalia Grzeszczak

www.autornia.com

ISBN 978-83-959582-0-5 (wersja EPUB)

ISBN 978-83-959582-3-6 (wersja MOBI)

Copyright ©2022 by Studio Link Piotr Jarco

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą elektroniczną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym, optycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

1

Być dziennikarzem oznacza jedno: jesteś kłamcą. Na uniwersytecie nikt o tym nie mówił. A pamiętam, że pytałem wiele razy. Osoba, która by mi to powiedziała, zapewne zmieniłaby losy mojej kariery i prawdopodobnie poszedłbym na medycynę lub prawo. W moim przypadku jednak nie było innej alternatywy niż dziennikarstwo – zawsze byłem mało rozgarnięty. Właśnie dlatego wybrałem ten zawód i zostałem gwiazdą redakcji. Ba! Najlepszym fachowcem w tej całej przeklętej gazecie.

Moja sława nie trwała jednak długo. Internet powoli wykańczał prasę drukowaną, a cały świat stanął na głowie, jak podczas kryzysu w 1929 r. Tym razem ludzie, zamiast skakać z okien na ulicę, rzucali się do innego okna. Kryzys gospodarczy, Hiszpania i mundial oraz pokolenie zbijające bąki na placu Puerta del Sol.

Był lipiec. Telewizja pokazywała przepychanki policji z manifestantami, a my, studenci, oglądaliśmy to całe przedstawienie, siedząc na kanapie z puszką piwa Mahou w ręku. Alicante ze swoimi palmami, cichodajkami, turystami w klapkach i skarpetkach, przypominało San Francisco. Miałem więcej szczęścia niż moi rówieśnicy, którzy serwowali hot-dogi lub zabawiali dzieci, błaznując w przebraniu Harry’ego Pottera. Ja mogłem siedzieć na tyłku i pisać, a na dodatek dostawałem za to zapłatę. Trochę tupetu, bezpłatne praktyki i z czasem dorobiłem się miejsca przy własnym, zawalonym papierem z recyklingu biurku, na którym stał przedpotopowy komputer. Redagowałem wiadomości w Las Provincias, drugim co do zasięgu dzienniku na wschodzie Hiszpanii.

To lato przypominało piekło, nie tylko z powodu żaru wprawiającego ulicę w otepienie, ale także przez otaczających mnie ludzi, którzy zdawali

się przechodzić samych siebie. A może to ja przekraczałem pewne granice? Na początku lata podjąłem decyzję o pozostaniu w gazecie. W ten sposób, pisząc do rubryki kryminalnej, sam wydałem wyrok na swoją karierę. Płacono mi w końcu niewiele. Ledwo wystarczało na życie, opłacenie faktur i weekendowe nałogi.

Na przekór linii dziennika słuchaliśmy radia Cadena Ser. Wprawiało ono w dobry nastrój moich szefów, podstarzałych rewolucjonistów, którzy najwidoczniej szukali prawdy pod biurkiem. Niewiele mnie to obchodziło. Prawdę mówiąc – gówno, ale miałem już dość słuchania prezentera Gabilondo, nudziarza z innej epoki. Mój szef, Ortiz, był starym, lysiejącym chudzielcem. Nosił koszule w kratę i miał wąsy pożółkłe od palenia czarnego tytoniu marki Ducados. Ortiz był redaktorem naczelnym, biednym cudakiem wiodącym szczęśliwe życie.

Wszyscy w redakcji byliśmy indywidualistami, jedynymi w swoim rodzaju. Ale przecież właśnie o to chodziło w tym zawodzie. Na tym polegał jego urok. Za każdym razem, kiedy odbierałem telefon, na drugim końcu linii jakiś cwaniak albo wrzeszczał, albo mówił ściszym głosem zakompleksionej osoby, próbującej uchodzić za światowca. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że redakcja była bramą do piekła.

Więc co taki bystrzak jak ja tam robił? To pytanie zadawali mi w kółko rodzice podczas tradycyjnej comiesięcznej rozmowy telefonicznej. Nie byli ze mnie dumni, to fakt. Irytowało ich również to, że zajmowałem odziedziczone przez ojca mieszkanie po ciotce. Zaniedbana klitka zalatywała starością i powojennymi wspomnieniami, ale miała świetną lokalizację – znajdowała się tuż obok Plaza de Toros. Rodzice chcieli ją sprzedać i pozbyć się jednocześnie nieruchomości oraz mnie. Raz na zawsze. Ale to nie było takie proste. Moja matka nosiła w sobie jeszcze resztki miłosierdzia i nie wiedziała za bardzo, jak otwarcie powiedzieć mi o ich planie. Ja zaś karmiłem ją nieustannie tą samą wymówką – powtarzałem, że szukam mieszkania razem z Margaritą (dziewczyną, z którą tylko sypiałem – ale to zupełnie inna historia).

Tego południa siedzieliśmy, pocąc się jak myszy, w pomieszczeniu z zepsutą klimatyzacją i przyglądaliśmy się przez okno dziewczętom w krótkich spodenkach obnażających połowę pośladków, sandałkach za dwa euro, okularach kupionych zapewne od nielegalnego imigranta, z rącznikami przewieszonymi przez ramię. Prezentowały styl pospolity i mało wyszukany.

Byłem zrezygnowany. Chciałem rzucić pracę, dmuchnąć Ortizowi w twarz dymem z papierosa i powiedzieć, że odchodzę. Wtedy, po raz kolejny tego dnia, na moim biurku zadzwonił telefon.

– Słucham? – zapytałem.

– Poproszę z panem Gabrielem Caballero – odpowiedział nieznajomy głos w słuchawce.

Wydawał się przestraszony.

– Kto mówi? – zapytałem.

– Czy to pan Caballero? – spytał głos.

– Wolę Gabriel – odparłem. – Od podstawówki nikt nie zwraca się do mnie per Caballero.

– Muszę się z panem spotkać – powiedział mężczyzna. – Dzisiaj.

– Słuchaj pan, jeśli się pan nie przedstawi – odpowiedziałem – nie będę mógł panu pomóc.

– To pilne – nalegał.

– Posłucha pan, mam mnóstwo pracy – powiedziałem. Nie była to prawda, ale zazwyczaj taka wymówka przyspieszała sprawę. – Proszę się przedstawić. Nie mogę czekać cały dzień.

– Nie mogę przez telefon – powiedział głos. – To niebezpieczne.

Ortiz wyszedł ze swojego gabinetu. Zaintrygowało go, że tak długo rozmawiam przez telefon.

– Kto dzwoni? – zapytał Ortiz. – Daj mi słuchawkę.

– To nic ważnego – powiedziałem zakrywając mikrofon – Dzwonią z kostnicy.

Ortiz wrócił do gabinetu i zamknął drzwi. Nie chciał mieć nic wspólnego z trupami.

– Halo, nie będę czekał cały cholerny dzień. Proszę powiedzieć, czego pan potrzebuje.

– Hidalgo mówił, że można ci zaufać – odpowiedział głos. – Na pewno?

Te słowa nieco mnie zaniepokoiły. Hidalgo był rektorem Uniwersytetu Alicante, a wcześniej moim profesorem na wydziale. Nasza znajomość wykraczała nieco poza normalne stosunki pomiędzy studentem a wykładowcą. Szczerze mówiąc jednak, nie miałem od niego żadnych wiadomości, od kiedy objął stanowisko. Z nieznanym mi przyczyn wołał zapomnieć o naszej zażyłości.

– Tak.

– Więc spotkajmy się – odpowiedział mężczyzna. Tajemniczy rozmówca podał mi adres miejsca, którego kompletnie nie znałem. Dorzucił kilka wskazówek, jak się do niego dostać i szybko się rozłączył.

Złapałem długopis oraz notes i szybko wymaszerowałem z biura bez pożegnania.

Słońce grzało niemiłosiernie, gdy szedłem portowym nabrzeżem do mojego samochodu – Seata Ibizy GTI, prawdziwego sprintera, a zarazem dobrego (choć mało wygodnego) miejsca na randkę.

Odpaliłem silnik. Odtwarzacz uruchomił się samoczynnie. Z głośników popłynął utwór Led Zeppelin „I'm gonna leave you”. Na myśl przyszła mi Patrycja z tym swoim okropnym chłopakiem. Widziałem ich kilka dni temu, jak całowali się ostentacyjnie w jednym z okolicznych barów. Patrycja to moja była dziewczyna.

W nagłym przyplywie złości wyszarpnąłem kasetę z obudowy i wyrzuciłem przez okno.

– Wal się zdiro! – krzyknąłem na cały głos i roześmiałem się gorzko.

Przechodząca obok kobieta z dziećmi spojrzała z wyrzutem w moją stronę i nazwała mnie chamem.

Cóż, takie jest życie, taki jestem ja.

Otworzyłem schowek pasażera i wyjąłem okulary przeciwsłoneczne – byłem gotów stawić czoła losowi.

2

Zgodnie z instrukcjami, wyjechałem z miasta drogą prowadzącą na południe. Za oknem rozpościerał się barwny krajobraz wybrzeża. Klimat Alicante łagodził lejący się z nieba żar. W mojej ulubionej stacji, Radio 3, grał Coltrane. Radio było ostatnim funkcjonującym reliktem starej dobrej technologii. Świat stał się miejscem ulotnym, pełnym hipokrytów zaabsorbowanych anglicyzmami, siecią 5G i megabajtami. Miejscem, w którym nie chodziło się do kina, bo wygodniej było obejrzeć film w domu. Wielki ekran, po boomie lat dziewięćdziesiątych, przestał cieszyć się zainteresowaniem. Ja chodziłem do kina tylko wtedy, gdy było bezpłatne lub zaprosiła mnie do niego jakaś dziewczyna. Nie mogłem pozwolić sobie na takie luksusy, a moja filozofia życiowa stawiała butelkę džinu ponad Bradem Pittem i Edwardem Nortonem. Czytałem klasyki, bo nic innego nie udawało mi się wypożyczyć w miejskiej bibliotece. Spędzałem dnie zamknięty w pokoju pośród zielonych puszek piwa Mahou i książek z niebieską pieczęcią. To tłumaczy, dlaczego kobiety wolały spotykać się z innymi. Nie osądzałem ich. Tak naprawdę kochałem je wszystkie, bez wyjątku. Patrycja obeszła się ze mną źle i nigdy jej tego nie wybaczę. Pozostałe kobiety zawsze darzyłem szacunkiem i jeśli wybierały innego mężczyznę, to potrafiłem to uszanować. Sam czasami postępowałem podobnie. Tak to już jest w życiu: raz na wozie, raz pod wozem. Poniosłem już tyle porażek, że serce miałem jak z żelaza.

Coltrane dał z całych sił w trąbkę, a ja rozkoszowałem się widokiem mijanej plaży Urbanova. Muzyka jazzowa zawsze mnie zachwycała i wprawiała w dobry nastrój. Nie było to wcale związane z powracającą modą na Milesa Davisa i fakt, że jazz ostatnimi czasy stał się czymś więcej niż tylko dobrym tłem do bzykania lub upijania się w barze. Moda mało mnie obchodziła, jednak

odpowiadało mi, że jazz wreszcie stał się popularny, bo mogłem go słuchać jeszcze częściej. Był wszędzie, ale niewielu naprawdę się nim fascynowało. Sam miałem tylko kilka płyt i nie zamierzałem kupować więcej. Wystarczało mi radio w domu i w samochodzie. Gdy zaś nie byłem w żadnym z tych miejsc, zaczynałem nucić bezwiednie utwory, jak zwariowany staruszek podróżujący autobusem.

Po kilku minutach dotarło do mnie, że chyba się zgubiłem. Nie poznawałem tej okolicy. Gdziekolwiek spojrzałem, rozciągała się pustynia. Zadzwoiła moja stara komórka. Spojrzałem na ekran – to był Ortiz. Wyłączyłem aparat i rzuciłem na tylne siedzenie. Byłem na podrzędnej, asfaltowej szosie prowadzącej donikąd, daleko od autostrady. Droga pięła się w górę i ginęła za horyzontem. Nagle w oddali coś spostrzegłem. Był to dwupiętrowy budynek z małym parkingiem. Wentylator rzeził, a ja pocilem się jak świnia.

– To musi być tam – powiedziałem do siebie. Często mówiłem na głos. To utrzymywało mnie przy zdrowych zmysłach. Ruszyłem w stronę budynku. Rysowała się przy nim coraz wyraźniej ludzka postać. Na placu stał gruby, łysy mężczyzna, spocony jak szczur. Bawełnianą chustką ocierał pot z czoła i dorodnego, podwójnego podbródka. Ubrany był w marynarkę i białą koszulę, która ledwie zakrywała brzuch.

Zaparkowałem, wzniesając za samochodem obłok kurzu. Jałowy krajobraz przypominał mi scenę z filmu kręconego na amerykańskiej pustyni.

Podszedłem do mężczyzny. Był niespokojny.

– Gabriel Caballero? – zapytał.

– Prosiłem, żeby tak do mnie nie mówić – odpowiedziałem i uściśniłem śliską jak rybia łuska dłoń. – Lepiej przejdźmy na ty.

– Jak pan sobie życzy – powiedział grubas.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytałem. Upał stawał się coraz bardziej nieznośny. – Ryzykuję pracę.

– Lepiej wejdźmy do środka – odparł. – Ugotujemy się tutaj.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem mały szyld. Gdy weszliśmy do środka, potwierdziły się moje obawy. Znajdowaliśmy się w starej masarni, w której panował charakterystyczny dla takich miejsc smród mięsa i środków sterylizacyjnych. Nieznośny fetor nie pozwalał oddychać. Zrobiło mi się niedobrze i poczułem zawroty głowy. Nie znosiłem widoku krwi, mdliło mnie na samą myśl o niej. To był mój słaby punkt. Każdy z nas go ma. Moja babcia zawsze chciała, abym został lekarzem. Nawet tuż przed śmiercią mi o tym przypominała. Z moją awersją do tej obrzydliwej cieczy raczej jednak nie poradziłbym sobie w tym zawodzie. Zawiodłem babcię. W sumie, to nie tylko ją.

Silny zapach mięsa wypełnił moje płuca. Przed oczami miałem mroczki. Wzięłem głęboki oddech. Nie chciałem zemdleć w obecności tego typka.

– Tu jest jak w piekle – rzuciłem.

– Idzie się przyzwyczaić – odpowiedział mężczyzna i uśmiechnął się.

– Zapach staje się cząstką ciebie. Jakbyś wchłaniał duszę każdego uśmiercanego zwierzęcia.

– To odrażające – powiedziałem i wyobraziłem sobie stado zwierzęcych duchów przelatujące nad naszymi głowami. – Czy mogę zapalić?

– Chyba pan żartuje? – odpowiedział urażony.

– Nie, nie wiem – odpowiedziałem. – Ten upał... To mogę, czy nie?

– Jasne, że nie – odpowiedział. – Nie może pan. Nikt nie może dowiedzieć się, że tu byliśmy.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem wycelowane w nas kamery monitoringu.

– Jasne – odpowiedziałem z przekąsem.

– Proszę przejść ze mną do biura – przerwał mi. Ruszył metalowymi schodami prowadzącymi na pierwsze piętro. Gdy wspięliśmy się na samą górę, moim oczom ukazała się panorama całej fabryki. Robiła wrażenie. Pode mną znajdował się aluminiowy lej wielkości basenu. Zajmował sporą część fabryki. W jego środku znajdowały się dwa metalowe ostrza osadzone na wale.

– Co to jest? – zapytałem.

– Najlepszy na rynku – odpowiedział z dumą. – Mógłby bez problemu zmielić byka w kilka sekund.

Wyobraziłem sobie, jak biedne zwierzę wpada do środka urządzenia i momentalnie ginie pod ostrzami rozdrabniacza.

– Czego pan chce ode mnie? – rzuciłem.

– Proszę wejść – powiedział, zapraszając mnie do swojej kanciapy.

Była to mała kłitka z oknem, przyozdobiona flagą Hiszpanii oraz kalendarzem z traktorami.

– Dziękuję, że przyjechałeś.

– Nie za wcześnie na podziękowania?

– Chcę przyznać się do popełnienia zbrodni – wyznał mężczyzna.
– Zabiłem niewłaściwą osobę.

Przez myśl przemknęło mi, że żartuje.

– O czym pan mówi? – zapytałem.

– Zmusili mnie do tego – odparł. – Hidalgo doradził mi, żebym panu o tym opowiedział.

– Mnie? – zdziwiłem się. – Dlaczego? Skąd pan zna Hidalgo?

– Pan pracuje w gazecie? Tak?

– Słuchaj pan, jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to lepiej powiedzieć o tym policji. Wie pan... Mam dość swoich zmartwień...

– Oni chcieli, cholera... – powiedział. – Musi mi pan pomóc.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Hidalgo powiedział mi, że mogę na pana liczyć.

– Hidalgo, Hidalgo... – mruknąłem. Ten facet działał mi na nerwy.

– Co on panu, do cholery, naopowiadał?

– To dobry przyjaciel, dobry człowiek – powiedział typ, akcentując każde słowo. – Dlatego nie mogę wciągać go w kłopoty... Ale pan musi mi pomóc. Jest pan przecież jego przyjacielem, panie Caballero, prawda?

Kim są ci „oni”? Mężczyzna powtarzał się. Jeśli chciałem się czegoś dowiedzieć, musiałem być bardziej asertywny. O co w tym wszystkim chodzi?

– Słyszają nas – powiedział, kierując palec w górę. Spojrzałem w tę stronę, ale niczego nie zobaczyłem. Ten człowiek działał mi na nerwy. Już miałem wyjść, gdy wreszcie podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wyjął z niej żółtą kopertę. – Proszę mi pomóc i ją wziąć. W środku jest wszystko, czego pan potrzebuje.

Wręczył mi kopertę.

– Co to jest? – zapytałem.

– Powinno wystarczyć.

Zajrzałem do środka. W środku były tylko banknoty.

– Chce mnie pan przekupić? – zapytałem. – Pomylił pan osoby.

– Weź to, do cholery!

Postanowiłem mu zaufać, złożyłem kopertę na pół i schowałem w tylnej kieszeni spodni.

Mężczyzna roześmiał się i ponownie otarł pot z czoła.

– Z czego pan się teraz śmieje – zapytałem.

– Hidalgo miał rację – odpowiedział. – Jesteś pan idiotą, prawdziwym idiotą.

– Zaczyna mnie pan wkurzać... – powiedziałem. – Proszę liczyć się ze słowami.

Zignorował moje słowa. Wyszedł z biura i wcisnął czerwony guzik na tablicy rozdzielczej, wiszącej na betonowej kolumnie.

Śruba rozdrabniarki zaczęła poruszać się i nabierać coraz większej prędkości. Silnik ruszył pełną parą. Piekielny hałas rozsadzał bębunki w uszach.

Mężczyzna, mimo swojej nadwagi, wspiał się zwinnie na metalową barierkę. Zamurowało mnie. Grubas zaczął machać rękami, z trudem utrzymując równowagę.

– Życzę panu szczęścia... – powiedział, patrząc mi w oczy. – I niech pan zapamięta: nie chciałem zabić tej dziewczyny.

Gdy skończył, skoczył w dół – tak jak stał: w ubraniu, w butach i przepoconej koszuli. Ruszyłem mu na ratunek, ale było za późno. Ten widok na zawsze pozostanie w mojej pamięci: grubas, spadający bezwładnie jak worek mąki, ćwiartowany jak kurczak i rozcierany niczym masa makowa.

Najpierw usłyszałem chrupot kości, a po chwili fontanna krwi zbryzgała ściany. Zwymiotowałem. A potem znowu. I jeszcze raz. Osłabiony nudnościami i przerażony tym, czego właśnie byłem świadkiem, w końcu nacisnąłem guzik. Maszyna zatrzymała się. Zbiegłem po schodach i nie oglądając się za siebie opuściłem fabrykę.

Wycieńczony padłem na kolana.

3

Nie za bardzo pamiętam, co wydarzyło się później. Byłem wykończony, a przed oczami ciągle miałem postać tamtego mężczyzny. Postanowiłem spędzić resztę popołudnia w barze i upić się na umór. Było mi ciężko i nie wiedziałem, do kogo mógłbym zadzwonić. Po prostu nie dawałem rady. Nie mogłem wciągnąć w tę historię mojej rodziny ani nikogo z i tak już niewielu przyjaciół, którzy mi pozostali. Przyjmując kopertę od tamtego gościa, na dodatek w obecności kamery, zachowałem się jak idiota, kompletny dureń. Być może na skutek dużej ilości wypitego alkoholu, przyszło mi do głowy nie do końca racjonalne rozwiązanie. Powinienem wrócić i zniszczyć wszelkie dowody, zanim przyjedzie policja. Fabryka znajdowała się na uboczu, ale mógł tam w każdej chwili zajrzeć z ciekawości przypadkowy turysta.

Cała ta dziwaczna sytuacja mnie przerastała, jednak coś w duszy podpowiadało mi, że wszystko będzie dobrze. A przynajmniej chciałem w to wierzyć.

Zamówiłem drugie piwo i kawałek tortilli. Włączyłem telefon. Miałem nieodebrane połączenia od Ortiza i wiadomość od Manueli, w której pytała, jak mi idzie praca.

Uwielbiałem Manuę. Za tę dziewczynę dalbym się poćwiartować. Była sympatyczna, ale nie do końca wiedziałem, o co jej chodzi. Mieszkała w Madrycie i pracowała w małym wydawnictwie. Była moją muzą na studiach. Wydatny biust, słodka i łagodna twarz, a nogi tak długie, że można się było zatracić w fantazjach o ich pieszczaniu. Długo po skończeniu studiów nie miałem od niej znaku życia, aż pewnego dnia, podpita, niespodziewanie do mnie napisała. Nie łączyło nas zbyt wiele, bo raczej gustowała w dojrzałych mężczyznach z

klasą. Nie mieściłem się w tej kategorii i może właśnie to oszczędziło nam cierpień. Wyszliśmy na miasto parę razy, aż pewnej nocy, pijani, przespaliśmy się w nadmorskim pensjonacie. Przytulaliśmy się i kochaliśmy do rana. Potem odwiozłem ją do domu. Drugie spotkanie było lepsze, bardziej intensywne, gwałtowniejsze. Manuela lubiła seks ze mną, a ja z nią. Razem bawiliśmy się doskonale. Była dla mnie przepustką do świata, do którego nie miałem dostępu i którym mało się interesowałem. Ale odrobina odmiany, od czasu do czasu, nie mogła mi przecież zaszkodzić. Wydawnictwa, świętek pisarzy z Madrytu, Barcelony i el Poble Nou. Rozpieszczeni synalkowie mamusi, modnisie z Malasaña. Narkotyki. Gin z tonikiem i ogórkiem, książki Foucaulta, filmy Felliniego i aparycja Jean-Pierre'a Léauda.

Chępną się tym, że czyta gazety, czego ja nie robiłem nigdy, mimo że pisałem do jednej z nich. Byłem dziennikarzem z zawodu, płacili mi za to. Wcale nie oznaczało to jednak, że podobało mi się to, co robię. Już na studiach, po lekturze Kapuścińskiego, Toma Wolfe'a i Pedro J. Ramireza, znudziły mi się klasyczne reporterskie tematy.

Kręciło ją to, że nie byłem z jej świata. I wyla jak hiena, gdy przypierałem ją do wezglowia łóżka. Była słodka. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nigdy nie będziemy razem i że nasza znajomość jest przelotna.

Jakiś czas później dowiedziałem się, że już wtedy miała chłopaka. Spotykała się z podstarzałym Asturyjczykiem. Ponoć mieszkali razem w Madrycie.

Ucieszyłem się na wiadomość od niej i od razu odpowiedziałem. Manuela była sama w Alicante i chciała się ze mną spotkać.

Pojawiła się w barze godzinę później. Nie ruszając się z miejsca, pocałowałem ją dwa razy. Z trudem utrzymywałem równowagę.

– Aj, Manuela... Kiedyś byliśmy nie do okielznania. – powiedziałem, gdy rozmawialiśmy o życiu przy zaserwowanej przez kelnera porcji krokietów.

Zaśmiała się i włożyła przysmak do ust.

– *C'est la vie*, Gabriel – powiedziała ze sztucznym akcentem. Zabrzmiało to okropnie. Powstrzymałem się od komentarza wyłącznie przez wzgląd na obfity dekolt, na który właśnie miałem piękny widok. – Ludzie się zmieniają.

– Ja nie – wybełkotałem i zmrużyłem oczy. – Ja się starzeję, ale nie zmieniam się.

– Oby każdy mógł tak powiedzieć – odpowiedziała.

Chwyciłem ją w pól i chciałem pocałować w usta. Manuela zrobiła unik i mój pocałunek wylądował na jej policzku.

– Gabriel – powiedziała uśmiechnięta. – Zachowuj się.

– Szach mat – odpowiedziałem zmieszany. – Przypuszczam, że to koniec, prawda?

– Nie bądź melodramatyczny – odpowiedziała zawstydzona. – Jesteśmy przyjaciółmi.

– I to na zawsze – dodałem, upijając łyk piwa. – Razem dobrze się bawiliśmy.

– Aż za dobrze – odpowiedziała. – Muszę iść, Gabriel. Podrzucić cię gdzieś? Mój telefon ponownie zawibrował.

To był Ortiz. Język mi się plątał, ale mimo to odebrałem.

– Co się dzieje? – zapytałem i pokazałem gestem Manueli, żeby na mnie nie czekała. Pożegnała się ze mną pocałunkiem w policzek, szepnęła na ucho, abym dbał o siebie, i wyszeptała bezgłośnie, że do mnie zadzwoni. Z drugiej strony słuchawki, wyraźnie podekscytowany czymś Ortiz krzyknął tak, że prawie spuchło mi ucho.

– Gdzie ty się do cholery podziewasz? – zapytał. – Mam nadzieję, że masz jakąś dobrą wymówkę.

– Nie mogę teraz rozmawiać, szefie – odpowiedziałem. – Poza tym, nie dajesz przecież wiary wymówkom.

– Rób, co chcesz – odpowiedział. Był czymś przejęty. – Wpadnij rano do mojego biura. Pytali o ciebie.

– Kto?

– Lepiej się wyśpij. Cześć – powiedział i rozłączył się.

Zapłaciłem i z trudem powlokłem się do domu. Ulica wirowała mi przed oczami jak karuzela. Chłopcy gotowi na imprezę, zapach tanich perfum i smród zepsutych ryb, wydobywający się ze styropianowych skrzynek przy Mercado Central. Obsikane rogi budynków, dym marihuany, kilka prostytutek w drzwiach hostelu. W wejściu do jednego z lokali grupka łysoli ubranych w wojskowe glany i koszulki polo marki Fred Perry zapięte po samą szyję. Całodobowe bary, naćpani narkomani żebrzący na chleb i strzał heroiny; Afrykanie handlujący nielegalnie alkoholem w barze z hamburgerami, zapach przypalonego oleju. Melanż kulturowy imigrantów, miejscowych i turystów; wszyscy razem na jednej ulicy, zmierzającej leniwie ku arenie walki byków. I ja, niezauważany albo po prostu jeden przechodzień więcej. Zatęchłe letnie powietrze, duszące i wilgotne.

W oknach mieszkań na mojej ulicy widać było tylko blask włączonych telewizorów. Odgłos wieczornego filmu odbijał się echem po podwórkach i placach.

Zamarzyłem o jajkach sadzonych, ale przypomniałem sobie, że już wszystkie zjadłem.

Rano zerwał mnie z łóżka budzik w telefonie. Z trudem otworzyłem oczy. Poruszyłem głową i poczułem tępy ból, jak po uderzeniu młotem. Byłem odwodniony.

Wziąłem szybki prysznic i z pustym żołądkiem pobiegłem do redakcji.

Mdłości, słabość. Natrętne myśli z powodu braku porannego papierosa. Przekleci kierowcy autobusów, damskie perfumy, litry wody kolońskiej, której zapach osłabiłby każdego.

– Ale masz minę – skomentował Ramiro, jeden z redaktorów. – Szef na ciebie czeka.

Ruszyłem w stronę biura Ortiza. Założyłem okulary przeciwsłoneczne. Zapukałem dwukrotnie i wszedłem.

Ortiz miał zatroskany wyraz twarzy. Tego ranka wydawał się jeszcze bardziej lysy niż był w rzeczywistości.

– Wyglądasz strasznie – powiedział Ortiz. – W takim stanie nie powinieneś pokazywać się w redakcji.

– Jak to? – zapytałem zbity z tropu. – Przecież chciałeś mnie zobaczyć.

– Siadaj i mnie nie wkurzaj – syknął. Posłuchałem. – Dzwonili z policji i pytali o ciebie.

Cholera.

Zupełnie o tym zapomniałem.

Oczami wyobraźni już widziałem, jak policjant wali mnie pałką w brzuch, a ja padam na podłogę. Wczorajszy zamiar upicia się do utraty przytomności przyniósł zamierzony efekt. Miałem gigantycznego kaca, a na domiar złego, teraz zacząłem się jeszcze do tego wszystkiego pocić z nerwów. Upał był nie do wytrzymania, a zawartość żołądka co rusz podchodziła mi do gardła.

– Czego chcieli? – zapytałem i sięgnąłem po butelkę wody stojącą na biurku Ortiza.

– Rozmawiać z tobą... – odpowiedział i spojrzał na mnie spode łba. – Na Boga, Gabriel, co tym razem nawywijałeś?

– Przysięgam, że nic – odpowiedziałem. – Nie wiem, o co chodzi.

– Zobaczymy... – odpowiedział wkurzony. – Albo opowiesz o tym mnie, albo sam im to wyśpiewasz. Masz problem. Chcę ci tylko pomóc.

– Wpakowałem się w kłopoty, tak?

– Dokładnie.

– Kurwa! – krzyknąłem i złapałem się za głowę.

Zawibrowała prywatna komórka Ortiza.

Spojrzał na ekran i odczytał wiadomość.

Następnie wyciągnął z szuflady butelkę koniaku i wlał odrobinę trunku do kawy. Wziął długi łyk i otarł wąsy.

– Idź i powiedz im prawdę – powiedział spokojnie. – Jeśli niczego nie zrobiłeś, to jesteś niewinny. Idź i powiedz im, co wiesz. Nie mogą cię oskarżyć.

– Ot tak, po prostu, mam iść i opowiedzieć o wszystkim? – powtórzyłem za nim.

– Tak – odpowiedział.

– Zwolnisz mnie? – zapytałem. Wydawało się, że rozmowa dobiega końca.

– Nie – odpowiedział. – Nie mogę cię zwolnić. Jestem tylko szefem redakcji... Ale na twoim miejscu zacząłbym...

– Do zobaczenia – przerwałem mu, wstałem i wyszedłem z pokoju.

Chmura emocjonalnego napalumu, która unosiła się nad moją głową, wystarczyłaby teraz z pewnością do eksterminacji całego narodu. Wbrew

radzie Ortiza, postanowiłem w pierwszej kolejności skorzystać z porannego lipcowego słońca i chwilę odpocząć. Potrzebowałem tego. Udałem się do jednej z moich ulubionych kawiarni na esplanadzie. Usiadłem przy metalowym stoliku i zamówiłem piwo oraz kanapkę z szynką i wtartym pomidorem. Byłem głodny, a posiłek mógł dać mi siłę, napelnić optymizmem i pomóc pokonać kolejny moment zwątpienia.

Zamknąłem oczy i zwróciłem twarz w kierunku słońca. Zamyśliłem się. Nagle jakiś cień przesłonił mi słońce.

Otworzyłem oczy. Przy moim stoliku usiadł dobrze zbudowany mężczyzna. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na mnie mało przyjaźnie zza opuszczonych na nos pilotek.

– Można wiedzieć, co pan robi? – zapytałem.

– Pan Gabriel Caballero? – powiedział grobowym tonem. – Nie myłę się?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie myli się pan. Kto pyta?

– Inspektor Rojo – odpowiedział i wyciągnął odznakę – z wydziału zabójstw.

– Skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć?

– Od pana szefa.

– Sukinsyn.

– Chciałbym, żeby pan poszedł ze mną i złożył wyjaśnienia – powiedział mężczyzna.

– W tej chwili nie mogę – odpowiedziałem. – Jestem zajęty, inspektorze.

– Właśnie widzę... – rzucił policjant. – Dobrze. W takim razie jeszcze się spotkamy.

– O co chodzi? – zapytałem naiwnie.

– Proszę jeść spokojnie, bo się pan udławi – odpowiedział i oddalił się.

Wsiadł do samochodu, w którym czekał na niego drugi funkcjonariusz. Ruszyli z piskiem opon w kierunku San Juan i zniknęli w oddali.

Straciłem apetyt.

4

Ostatnio życie nie układało się po mojej myśli, ale moja obojętność wobec problemów sprawiała, że na krótką metę wszystko stawało się prostsze. Staralem się żyć teraźniejszością. Niektórzy z tym przesadzali. Kluczem do sukcesu było znalezienie równowagi, jak linoskoczek, który chodzi po linie. Trochę teatru, trochę improwizacji, ale resztę dnia stąpając twardo po ziemi i czasami wdeptując w gówno. Tak to widziałem od zawsze.

Stałem w drzwiach komisariatu policji. Byłem już tutaj wiele razy, ale po raz pierwszy sprawa dotyczyła mnie osobiście. Spytałem funkcjonariusza, gdzie znajdę inspektora i po chwili Rojo wystawił głowę z jednego z pomieszczeń na końcu korytarza. Pomachał ręką i zaprosił mnie gestem do siebie. Ruszyłem w jego kierunku. Po drodze mijalem cygańskie rodziny, lyse karki, pijaną młodzież i kieszonkowców. Jakiś mężczyzna zgłaszał kradzież komórki, a inny przyznawał się do poderżnięcia gardła koledze z pracy. Była też kolejka ludzi usiłujących odzyskać swoje rzeczy. Śmierdziało wilgocią, potem i dymem papierosowym zmieszany z aromatem sztucznej kawy z automatu. Komisariat przypominał psie schronisko dla ludzi.

Wszedłem do dużego pokoju z biurkami, na których stały komputery i płaskie monitory. Było tu o wiele czystiej i schludniej niż w naszej redakcji. Pachniało męskim potem, nową wykładziną, materiałami biurowymi i środkami czystości. Inspektor wskazał mi krzesło przy swoim biurku. Na okiennym parapecie stała oprawiona fotografia króla, a obok wisiała hiszpańska flaga.

Na biurku Rojo zobaczyłem zdjęcie kobiety z kręconymi blond włosami i dzieckiem na rękach. Nie było na nim inspektora, stąd wywnioskowałem, że to jego żona, siostra lub inna ważna dla niego bliska osoba.

Inspektor najpierw sprawdził moje dane i dowód osobisty. Miałem czystą kartotekę. Nigdy nie wpakowałam się w żadne kłopoty, z wyjątkiem długu zaciągniętego w wypożyczalni filmów BlockBuster.

– Przejdę od razu do sedna – powiedział. – Skąd pan znalazł pana Rocamorę?

– Nie znałem go – odpowiedziałem. – Ani trochę, naprawdę. Po co mnie wezwaliście? Żeby tracić czas?

Rojo przez chwilę coś notował. Znałem tę sztuczkę. Po wypowiedzi rozmówcy udajesz, że coś zapisujesz. Wszystko po to, aby wywołać atmosferę niepewności. Na mnie to nie działało.

– Znalaziono Rocamorę... – powiedział i pokazał mi zdjęcie resztek grubasa. – Pan ma z tym bezpośredni związek.

– Nie mam nic z tym wspólnego – odpowiedziałem. – To on do mnie zadzwonił.

– I czego chciał?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Pierwszy raz widziałem tego człowieka na oczy.

– Co mówił?

– Nic.

– Coś musiał panu powiedzieć – rzekł policjant. – Co było w kopercie?

– Jakiej kopercie? – zapytałem naiwnie.

– Żółtej kopercie, którą panu wręczył – nalegał.

– Nie wiem, o czym pan mówi, inspektorze.

Rojo wykonał kilka kliknięć na swoim komputerze i odtworzył film. Na samym początku pojawiłem się ja patrzący w kamerę. Następnie znowu ja, w biurze grubasa, biorący do ręki kopertę i wkładający ją do kieszeni.

Inspektor zatrzymał film.

– Proszę nie robić ze mnie idioty – powiedział. Był wyraźnie poirytowany tym, że go okłamuję.

– Dał mi kopertę z pieniędzmi – wyznałem. – Powiedział, że muszę napisać artykuł. Myślałem, że w kopercie będą zdjęcia, ale...

– Artykuł?

– Jestem dziennikarzem – odparłem. – Nie wiedział pan?

– Nie bądź taki sprytny – powiedział, po raz pierwszy zwracając się do mnie na ty.

– Chciał zgłosić przestępstwo – ciągnąłem dalej. – Doradziłem mu, żeby udał się na policję, ale mnie nie słuchał.

– Co się stało później?

– Przecież pan wie.

– Nie rozumiem.

– Rzucił się w dół – wyjaśniłem. – Najbardziej zdziwił mnie jego wyraz twarzy. Nie wyglądał na skruszony, nawet się nie bał. Reszta to... papka.

– Wystarczy – powiedział. Inspektor zauważył moje zdenerwowanie. Nie mogłem powstrzymać natłoku idiotycznych dowcipów, którymi próbowałem zatuszować kielkujące we mnie obawy. – Dlaczego zadzwonił do pana?

– Tego to nie wiem – skłamałem powtórnie. Ponownie zapisał coś w swoim notesie. – Mówię panu prawdę. Musi mi pan uwierzyć, inspektorze.

– Zrobię, co uznam za słuszne – odparł. – Jest pan głównym podejrzanym o zabójstwo. Przypuszczamy, że nie było to samobójstwo.

– Dlaczego miałbym go zabić? – zapytałem zdziwiony.

– Pan mi to powie.

– Pomylił pan osoby – powiedziałem. – Takie gadki nie robią na mnie wrażenia. Piszę po to, aby przekazywać prawdę, a nie po to, by cieszyć się z cudzych nieszczęść.

– Pan pisze o zmarłych – powiedział.

– Ale nie zmyślam faktów – odpowiedziałem.

– Czy powodem były pieniądze?

– Pan żartuje? – zapytałem. – Pieniądze może pan zatrzymać. Dał mi je z własnej woli. Myli się pan co do mnie, panie władzo.

– Pewnie – powiedział spokojnie. Drań wyglądał na rozbawionego.

– Nie jestem tym, kogo szukacie – odpowiedziałem. – Policja, oskarżając mnie, popełnia błąd.

– Spokojnie, panie Caballero – odpowiedział i uniósł ręce. – Nie oskarżamy pana. Jeśli jest pan niewinny, zostawimy pana w spokoju. Jeśli dowiemy się, że jest pan sprawcą zbrodni, osobiście zajmę się pańską sprawą.

– Powinienem mieć adwokata! – odpowiedziałem. – Gdzie jest protokół?

– Wrócimy do tego jutro – powiedział policjant. – To poważna sprawa, a nie jakieś blahe przewinienie.

– Mogę iść?

– Tak, to wszystko – zawyrokował. – Trafi pan do wyjścia.

– Bardzo pan uprzejmy – odpowiedziałem ironicznie i podniosłem się z krzesła, udając urażonego. W rzeczywistości jednak byłem przerażony. Policjant mówił poważnie. Już widziałem siebie za kratami, w celi razem z wytatuowanym trollem, który gwałci mnie w przerwach na odpoczynek. Byłem dziennikarzem. Wypatroszyliby mnie. Nie byłem gotowy na więzienie.

– I niech pan nie robi głupot! – krzyknął wychylając się za mną ze swojego biura. – Będę mieć pana na oku!

Szedłem korytarzem, bez przerwy oglądając się za siebie, przez co nie zauważyłem idącego z przeciwległej strony dobrze ubranego, siwego mężczyzny w asyście policjanta. Wszedłem im w drogę. Zderzyliśmy się. Poczulem lekkie uklucie w ramię.

– Cholera jasna! – jęknąłem.

– Przepraszam! – powiedział mężczyzna. – Nie zauważyłem pana.

– Co to było? – zapytałem.

– To przez zegarek, muszę go naprawić – odpowiedział. – Proszę wybaczyć...

Mężczyzna ruszył dalej korytarzem, rzucając w moją stronę przeprosiny.

Wszedłem z budynku i włożyłem rękę do tylnej kieszeni spodni.

Wymacałem żółtą kopertę. Cholera, zapomniałem zostawić ją w domu. Zerknąłem na ramię. Było zaczerwienione.

Założyłem okulary przeciwsłoneczne, zapaliłem papierosa i szybko oddaliłem się od komisariatu, w obawie, że inspektor jeszcze zmieni zdanie.

Zrobiło się późno, a ja miałem sporo rzeczy do załatwienia. Czulem taką złość, że ogarnęła mnie przemożna chęć, by wpaść do gazety, otworzyć drzwi z kopniaka, chwycić łysy łeb Ortiza i walić nim o biurko tak długo, aż rozleci się w drobny mak. Nie mogłem więc pójść do redakcji, bo to mogłoby wiązać się z dość szybkim powrotem na komisariat w radiowozie.

Pewnego dnia jednak dam upust moim fantazjom.

Tik-tak, Ortiz. Twoje godziny są policzone.

Zamiast tego poszedłem do pobliskiego baru, usiadłem przy ladzie i zamówiłem whisky z colą – najtańszą, jaką mieli. *Victoria!* Byłem uratowany. Kelner spojrział na mnie pogardliwie, jak na jakiegoś pijaka. Zapłaciłem trzy euro i wypilem drinka zanim skończyły się wiadomości telewizyjne. Zamówiłem drugiego i od razu poczułem się trochę zrelaksowany. Słońce przygrzewało, ludzie wychodzili z pracy, a z plaży wracały dziewczyny w szortach i obcisłych stanikach.

Między jednym łykiem, a drugim, zastanawiałem się, dlaczego właściwie kryłem Hidalgo, rektora Uniwersytetu Alicante. Byliśmy przyjaciółmi, przebalowaliśmy wiele nocy, ale od jakiegoś czasu nie mieliśmy żadnego kontaktu. Dziwnym zbiegiem okoliczności nasza znajomość urwała się, gdy Hidalgo, w przeciwieństwie do mnie, stał się kimś ważnym.

Wyjąłem telefon i bez zastanowienia wybrałem jego numer.

Chwilę trwało, zanim odebrał.

– Słucham? – zapytał. Poznałem jego głos.

– Antonio?

– Tak, to ja – odpowiedział. – Kto mówi?

– Tu Gabriel – odparłem. – Pisarz, twój przyjaciel.

– No nie, Gabriel, kopa lat... – powiedział. Raczej nie ucieszył go mój telefon. – Dzwonisz nie w porę. Nie mogę teraz rozmawiać, ale zadzwonię do ciebie później. Dobrze?

– Musimy się spotkać, Antonio – powiedziałem. – Dzisiaj.

– Naprawdę, nie mogę – powiedział. – A o co chodzi?

– Nie dzwoniłbym, gdyby nie było to ważne – odpowiedziałem. – Po tym wszystkim...

– Mam mnóstwo pracy – oświadczył. – Przepraszam, że nie dzwoniłem tyle czasu.

– Daruj sobie – przerwałem mu. – Widzimy się w Desdenie, tam, gdzie zawsze, za godzinę.

– Za godzinę? – obruszył się. – Nie wiem, czy będę mógł, Gabriel... To nie jest dobry moment.

– Czekam tam na ciebie – powiedziałem. – Nie zawieź mnie.

Rozłączyłem się, wypilem do końca whisky, za którą zapłaciłem kolejne trzy euro. Byłem pijany i gotowy na szczerą do bólu.

Hidalgo coś ukrywał. Umówiłem się z nim w naszym ulubionym barze, w którym przetraciliśmy wiele nocy.

Wkrótce dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

Czytelniku!

Spodobał Ci się ten fragment?

**Śledź dalsze losy Gabriela Caballero
na stronie:**

autornia.com

